

Rybak i jego dusza

Oskar Wilde



calibre 0.9.27

RYBAK I JEGO DUSZA

Oskar Wilde

Przełożyła Maria Feldmanowa

Co wieczora rybak wypływał na morze i zarzucał sieci.

Gdy wiatr dał od lądu, rybak nie mógł nic ułowić, a przynajmniej bardzo niewiele, bo był to wiatr przykry, czarnoskrzydły i niespokojne fale wznosiły się na jego spotkanie. Ale gdy wiatr wiał w stronę wybrzeża, ryby wypływały z głębiny i wikłały się w okach sieci rybaka, a on wynosił je na targ i sprzedawał.

Co wieczór wypływał na morze, a jednego wieczora sieci jego były tak ciężkie, że ledwie zdołał je wciągnąć do czółna. Zaśmiał się i rzekł do siebie:

— Zaiste, albo złowiłem wszystkie ryby, jakie tylko pływają po morzu, albo też schwyciłem okropną potworę, która ludzi zadziwi, albo może inne jakieś straszne stworzenie, którego zapragnie wielka królowa.

Zebrał więc wszystkie siły i pociągnął za szorstkie liny, aż na ramionach jego, niby błękitna emalia na brązie, zarysowały się żyły. Ciągnął więc za liny i coraz bliżej przyplływały szeregi płaskich korków, aż nareszcie sieć wypłynęła na powierzchnię.

Ale nie było w niej ryby ani potwory, ani żadnego straszego stworzenia, tylko mała, w głębokim śnie pogrążona wodnica.

Włosy jej były wilgotnym złotym runem, a każdy włos z osobna niby nić delikatnego złota w szklanym pucharze. Ciało wyglądało jak biała kość słoniowa, a ogon był ze srebra i pereł. Ze srebra i pereł był jej ogon, a zielone wstężyce morskie wiły się koło niego; jak muszle morskie były jej uszy, a usta jak morskie korale. Zimne fale bryzgały na jej zimne piersi, a sól świeciła na jej powiekach.

Była tak piękna, że młody rybak zdumiał się na jej widok, wyciągnął ręką i bliżej przyciągnął sieci, a pochyliwszy się nad czółnem, wziął ją w swe ramiona. A ona za jego dotknięciem krzyknęła jak spłoszona mewa i spojrzała nań trwożnymi, liliowoametystowymi oczyma, usiłując mu się wymknąć. Ale on silnie ją przygarnął do siebie i nie chciał uwolnić. Widząc więc, że żadną miarą nie zdoła się wyswobodzić, po częła płakać i rzekła:

— Proszę cię, pozwól mi odejść, gdyż jestem jedyną córką króla, a ojciec mój stary jest i samotny.

Ale młody rybak odpowiedział:

— Nie puszczę cię, dopóki mi nie dasz przyrzeczenia, że ilekroć cię zawołam, przyjdiesz do mnie i będziesz mi śpiewać, gdyż ryby lubią słuchać śpiewu mieszkańców morza i będą napływać do moich sieci.

— Czy naprawdę pozwolisz mi odejść, gdy ci to przyrzeknę? — zawołała wodnica.

— Naprawdę — odparł młody rybak.

Dała mu więc przyrzeczenie, którego żądał i zaprzysięgła je przysięgą mieszkańców morza.

Wtedy on uwolnił ją z uścisku i wpadła do wody, drżąc z nieznanej trwogi.

Co wieczora rybak wypływał na morze i przywoływał wodnicę, a ona wylaniała się z wody i śpiewała mu. Dokoła niej płynęły delfiny, a dzikie mewy okręzały jej głowę.

I śpiewała pieśń cudowną. Śpiewała bowiem o mieszkańcach morza, przeganiających swe stada od jaskini do jaskini i noszących na ramionach małe cielęta, i o trytonach z długimi, zielonymi brodami i włochatymi piersiami, co dmą w kręte muszle, gdy król przechodzi ze swym orszakiem, i o pałacu królewskim z czystego bursztynu, który ma dach z przezroczystego szmaragdu i posadzki z lśniących pereł i o ogrodach morskich, gdzie olbrzymie koralowe wachlarze cały dzień kołyszą się i falują, ryby przemykają jak srebrne ptaszyny, anemony czepiają się raf podwodnych i gwoździki tkwią w żółtym, wzdętym piasku. Śpiewała o ogromnych wielorybach, co napływają od mór północnych, a u płetw swych wloką ostre lodowce, i o syrenach śpiewających, a tak cudownych, że kupcy woskiem sobie zatykają uszy, aby nic nie słyszeć i nie wpaść do wody, i o zatopionych galerach z wysokimi masztami, gdzie marynarze przymarzli do lin okrętowych, a makrele swobodnie wpływają i wypływają przez otwory w kadłubie, o małych kaczenicach, co odbywają dalekie podróże, wrzynają się w tramy okrętu i opływają cały świat daleki, i o sepiach, co żyją na ścianach ostrych raf i wyciągają swe długie czarne ramiona, sprowadzając noc, kiedy się im podoba. Śpiewała o Nautylusie i jego złotej łódce, rzeźbionej w opalu, a gnanej srebrnymi falami, o szczęśliwych wodnikach, co grają na harfach i w sen pogrążają potwory, o małych dzieciach, łowiących gładkie delfiny, by następnie jeździć na ich grzbietach, o wodnicach, co, w białej leżąc pianie, wyciągają ramiona ku podróżnym, o lwach morskich z wykrzywionymi kłami, i hipopotamach o rozwianych grzywach.

A gdy śpiewała, z głębin wypływały wszystkie tuńczyki, by słuchać jej śpiewu, a młody rybak zarzucał sieć i chwycił je, w inne ryby godząc oszczepem. A gdy miał łódź pełną, wodnica zanurzała się w morzu i uśmiechała się do niego.

Nigdy jednak nie zbliżała się o tyle, aby jej mógł dotknąć. Nieraz wołał i prosił, ale była nieubłagana, a gdy ją usiłował pochwycić, dawała nurka jak pies morski i tego dnia nie ukazywała się więcej. I z każdym dniem dźwięk jej głosu stawał się miłszy. Tak mu był miły, że słuchając go zapominał o sieciach i fortelach, wcale się nie troszcząc o swoje rzemiosło. A ryby o czerwonych płetwach i złocistych żrenicach gromadnie koło niego przepływały, ale on na nie nie zważał. Oszczep jego leżał na uboczu nie tknięty, a kosze wyplatane z trzciny stały puste. Z otwartymi ustami i szeroko, bezprzytomnie rozszerzonymi żrenicami, pociemniałymi ze zdumienia, siedział w czółnie i słuchał. Słuchał, aż go mgły morskie omotały, a płynący po niebie księżyc srebrem powlókł jego brunatne ciało.

A pewnego wieczora przywołał ją do siebie i rzekł:

— Mała wodnico, mała wodnico, kocham cię. Pozwól, bym został twym oblubieńcem, gdyż kocham cię.

Ale wodnica potrząsnęła głową.

— Masz duszę ludzką — odparła. — Gdybyś tylko zechciał oddalić swą duszę, zaraz bym cię pokochała.

A młody rybak rzekł do siebie: „Na co mi potrzebna moja dusza? Nie znam jej. Oddalę ją, a wielka radość przypadnie mi w udziale.” Okrzyk radości wyrwał mu się z piersi i zerwawszy się w pomalowanym czółnie na równe nogi, wyciągnął ramiona ku wodnicy. . — Oddalę moją duszę — zawołał — i ty zostaniesz moją oblubienicą, a ja twym oblubieńcem i razem zamieszkamy w głębi morza, a ty mi pokażesz wszystko, o czym śpiewałaś; ja uczynię wszystko, co zechcesz, i nie rozłączymy się nigdy w życiu.

A mała wodnicą zaśmiała się z radości i w rękach ukryła twarz.

— Ale w jaki sposób mam oddalić moją duszę? — zapytał młody rybak. — Powiedz mi, jak to uczynić, a natychmiast się stanie.

— Ach, tego ja nie wiem — rzekła mała wodnica. — My, wodnicy, nie mamy dusz. — I tęsknym go obrzucając spojrzeniem zanurzyła się w głębinie.

A nazajutrz wczesnym rankiem, gdy słońce zaledwie na odległość dłoni odpłynęło od wzgórza, młody rybak ruszył ku mieszkaniu księdza, a stanąwszy tam, trzykrotnie zapukał do drzwi.

Wikary wyrzał przez drzwiczki, a zobaczywszy, kto przyszedł, odsunął rygiel i rzekł:

— Wejź!

A młody rybak wszedł i uklękawszy na wonnym sitowiu, pokrywającym podłogę, zwrócił się do kapłana, czytającego Pismo święte i zawołał:

— Ojcze, ja kocham wodnicę, a dusza moja przeszkadza mi w zaspokojeniu mych pragnień. Powiedz, w jaki sposób mam oddalić swą duszę, bo zaiste, nie jest mi ona potrzebna. Jakąż wartość posiada dla mnie moja dusza? Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotknąć. Nie znam jej.

A ksiądz uderzył się w pierś i krzyknął:

— Biada, biada, jesteś szalony lub połknąłeś trujące ziele. Wszak dusza jest najszlachetniejszą częścią człowieka, daną nam przez Boga, i służy nam do celów szlachetnych. Nie ma nic cenniejszego nad duszę ludzką i nic ziemskiego nie jest w stanie jej dorównać: Warta ona więcej od wszystkiego złota, co jest w ziemi, i cenniejszą jest od rubinów królewskich. Dlatego; synu mój, nie myśl więcej o tym, gdyż jest to grzech, za który nie ma przebaczenia. A mieszkańcy morza? Toż to stworzenia zgubione, a kto się z nimi wdaje, również będzie zgubiony. Żyją jak te zwierzęta w polu, nie odróżniające dobrego od złego i dla nich Bóg nie skonał na krzyżu.

Oczy młodego rybaka zasłzy łzami, gdy usłyszał gorzkie słowa kapłana, wstał z klęczek i rzekł:

— Ojcze, fauny w lesie żyją i weselą się, a na skałach siedzą wodniki z harfami z czerwonego złota. Pozwól mi, proszę, być takim jak oni, gdyż dni ich płyną jakby dni kwiatów. A moja dusza! Na cóż potrzebna mi dusza, jeśli staję pomiędzy mną, a tym, co kocham?

— Miłość cielesnągodna jest pogardy — zawołał ksiądz — a pogardy godne i złe są też owe pogańskie istoty, którym Bóg pozwala chodzić po świecie! Przekłęte niech będą fauny leśne i przekłęte śpiewaki morza! Słyszałem w nocy ich śpiew, gdy próbowali mnie zwabić ku sobie i oderwać od różańca. Pukają do okien mych i śmieją się. Szepczą mi do ucha baśnie o swych zgubnych rozkoszach. Wabią mnie pokusami, a gdy się chcę modlić, robią szydercze miny. Zgubione one są, powiadam, zgubione. Nie masz dla nich nieba ni piekła i ani tam, ani tu nie będą słać imienia bożego.

— Ojcze — zawołał młody rybak — nie wiesz, co, mówisz! Niegdyś złowiłem w me sieci córkę króla. Piękniejsza jest od jutrenki i bielsza od księżycy. Za ciało jej chętnie oddam moją duszę, a dla jej miłości wyrzeknę się nieba. Powiedz, o co cię pytam, i pozwól mi odejść w pokój.

— Precz! precz! — krzyknął ksiądz. — Zalotnica twa zgubiona, a ty zgubiony będziesz wraz z nią!

I nie dał mu błogosławieństwa, lecz odpędził od swych progów.

A młody rybak ruszył ku miastu i szedł powoli, ze zwieszoną głową, jak człowiek, którego żal głęboki przygniata. Kupcy zobaczywszy go poczęli szeptać między sobą, a jeden z nich podszedł ku niemu i, zawoławszy nań po imieniu, spytał: — Co masz do sprzedania?

— Sprzedam ci moją duszę — odparł. — Proszę cię, odkup ją ode mnie, gdyż jestem nią znużony. Na co potrzebna mi moja dusza? Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotykać. Me znam jej.

A kupcy jęli zeń szydzić i pytali:

— Co nam z duszy człowieczej? Nie warta ani jednej srebrnej monety. Sprzedaj nam swe ciało jako niewolnik, a ustroimy cię w purpurę morza i pierścień włożymy na twój palec i uczynimy cię ulubieńcem Wielkiej królowej. Ale nie mów o swej duszy: dla nas nie ma ona żadnego znaczenia i żadnej nie posiada wartości dla naszego interesu.

A młody rybak rzekł do siebie:

— Jakie to dziwne! Ksiądz mi powiada, że dusza warta więcej od wszystkiego złota ziemi, a kupcy powiadają, że nie warta ani jednej srebrnej monety. — I odszedł z miasta, i ruszył nad morskie wybrzeże, by rozmyślać, co począć.

A koło południa przypomniał sobie, co mu jeden z towarzyszy, wylawiacz kopru morskiego, opowiadał o młodej czarownicy, mieszkającej na drugim końcu zatoki i znającej się na wielu rzeczach. Więc zebrał się, by pójść do niej, żądny pozbycia się swej duszy, a tuman kurzu wznosił się dokoła niego, gdy piaskiem biegł wzdłuż wybrzeża. Po swędzeniu ręki młoda czarownica poznała, że przyszedł, zaśmiała się i rozpuściła swe rude włosy. I stała u wniścicia jaskini trzymając w ręku gałąź rozkwitłego szaleju, a długie rude włosy otulały ją całą.

— Czego żądasz? Czego żądasz? — zawołała, gdy zadyszany wdarł się na wzgórze i przed nią się pochylił. — Czy może ryb do sieci, gdy wiatr nie sprzyja? Mam małą świstawkę, a gdy na niej świsną, tępogłowy sterują ku zatoce. Ale kosztuje ona, piękny chłopcze, kosztuje dużo. Czego żądasz? Czego żądasz? Czy może burzy, by rozbiła okręty i na brzeg wyrzuciła skrzynie bogatych kupców? Mam więcej burz w swej mocy niż wichry, gdyż służę temu, co silniejszy jest od wichru, a sitem i konwią wody mogę największe galary zepchnąć na dno morza. Ale nałożyłam na to cenę, piękny chłopcze, nałożyłam cenę. Czego żądasz? Czego żądasz? Znam piękny kwiat w dolinie, nikt go nie zna prócz mnie. Ma liście purpurowe i gwiazdę w sercu, a sok jego bielszy jest od mleka. Jeśli kwiatem tym dotkniesz twardej ust królowej, pójdzie za tobą na koniec świata. Ale ma on swoją cenę, piękny chłopcze, ma swoją cenę. Czego żądasz? Czego żądasz? Mogę w moździerzu potłuc ropuchę i ugotować z niej rosół, a rosół ten mieszać ręką trupa. Skropisz nim swego wroga, gdy zaśnie, zaraz przemieni się w czarną żmiję, a własna matka go uśmierci. Mogę kołem ściągnąć księżyc z nieba i śmierć ci pokazać w kryształ. Czego żądasz? Czego żądasz? Wyjaw mi swe życzenie, spełnię je, a ty mi zapłacisz, piękny chłopcze, zapłacisz mi!

— Życzenie moje jest skromne — rzekł młody rybak — ale ksiądz się na mnie rozgniewał i wypędził. Życzenie moje jest skromne, ale kupcy mnie wyszydzili i odmówili jego spełnienia. Dlatego przyszedłem do ciebie, pomimo że cię ludzie uważają za złą, i jakkolwiek jest cena przez ciebie naznaczona, zgadzam się na nią.

— Czego chcesz? — spytała czarownica podchodząc ku niemu.

— Chcę oddalić od siebie swą duszę — odparł młody rybak.

Czarownica zbladła, wzdrygnęła się i ukryła twarz, w swym błękitnym płaszczu.

— Piękny chłopcze, piękny chłopcze — mruknęła — to straszne, co chcesz uczynić.

Odgarnął z czoła ciemne pukle włosów i zaśmiał się.

— Moja dusza Jest dla mnie niczym — odparł. — Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotknąć. Nie znam jej. — Co mi dasz, jeśli ci poradzę? — spytała czarownica wpatrując się w niego pięknymi oczyma.

— Pięć sztuk złota — odparł — i moje sieci, i. mój dom pleciony z prętów, gdzie mieszkam, i czółno pomalowane, w, którym wyjeżdżam na morze. Powiedz mi tylko, w jaki sposób mogę się pozbyć swej duszy, a dam ci wszystko, co posiadam.

Zaśmiała się drwiąco i z lekka uderzyła go gałązką szaleju.

— Mogę liście jesienne zamienić w złoto — rzekła — a z białych promieni księżycy tknąć srebrne

pasma, skoro tylko zechcę. Ten, któremu służę, bogatszy jest; od wszystkich królów świata i ma moc nad wszystkimi ich krajami.

— Cóż ci więc mam dać? — zawołał — skoro nie można ci zapłacić ni złotem, ni srebrem?

Czarownica białą, cienką ręką przesunęła po swych rozpuszczonych włosach.

— Musisz ze mną tańczyć, piękny chłopcze — mruknęła z uśmiechem.

— Nic więcej? — zawołał młody rybak zdumiony, i zerwał się na równe nogi..

— Nic więcej — odparła, znów się doń uśmiechając.

— Więc potańczymy w jakim ustronnym miejscu, po zachodzie słońca — rzekł — a gdy skończymy, powiesz mi, co wiedzieć pragnę.

Potrząsnęła głową.

— Gdy księżyc stanie w pełni, gdy księżyc stanie w pełni — mamrotała. — Po czym rozglądnęła się; wokół nasłuchując. Błękitny ptak z krzykiem zerwał się z gniazda i krążył ponad wydmami piasku, a trzy nakrapiane ptaki zaszeleściły w twardej, szarej trawie, pogwizdując do siebie. Poza tym żadnego głosu, prócz szmeru fal, toczących się po gładkim żwirze. A ona wyciągnęła rękę i przygarnęła go do siebie, i cienkie wargi zbliżyła do jego ucha.

— Dzisiejszej nocy musisz ze mną pójść na grzbiet wzgórza — szepnęła. — Tam się odbywa sabat i On przybędzie.

Młody rybak drgnął i spojrzał na nią, a ona pokazała mu białe zęby i zaśmiała się.

— Kto jest ów On, o którym mówisz! — spytał.

— To obojętne — odparła: — Przyjdź dzisiejszej nocy i stań pod grabem, i czekaj, aż przyjdę. Gdy do ciebie przybieży czarny pies, uderz go różdżką czarnoksięską, a odejdzie. Gdy cię zagadnie sowa, nie odpowiadaj. Skoro księżyc stanie w pełni, będę przy tobie i potańczymy na trawie.

— Ale czy przysięgasz, że mi powiesz, w jaki sposób mam oddalić od siebie swą duszę? — spytał.

Stanąła w blaskach słońca, a wiatr igrał w jej rudych włosach.

— Na kopyto kozła, przysięgam — odparła.

— Jesteś najlepszą z czarownic — zawołał młody rybak — i dzisiejszej nocy będę z tobą tańczył na grzbiecie wzgórza! Wolałbym wprawdzie, byś zażądała ode mnie złota lub srebra. Ale jakakolwiek jest twa cena, zgadzam się na nią, gdyż jest nieznaczna.

Zdjął przed nią czapkę, głęboko pochylił głowę i pobiegł z powrotem do miasta, pełen wielkiej radości.

Czarownica spoglądała za odchodzącym, a gdy jej zniknął z oczu, wróciła do jaskini i z szafki z drzewa cedrowego wyjęła zwierciadło i ustawiła je na sztalugach, i spaliła przed nim na żarzących się węglach werbenę, wpatrując się w ulatujące dymy. Po chwili gniewnie zacisnęła pięści.

— Moim powinien być być — mruknęła. — Jestem równie piękna jak ona.

A wieczorem, gdy księżyc wypłynął na niebie, młody rybak ruszył na grzbiet wzgórza i stanął pod gałęziami grabu. Niby tarcza polerowanego srebra świeciła u jego stóp okrągła zatoka morska, a cienie czółen rybackich ustawicznie po niej przemykały. Duża sowa o żółtych oczach koloru siarki zawołała nań po imieniu, ale jej nie odpowiedział. Czarny pies przybiegł doń warcząc. Uderzył go różdżką czarnoksięską i pies uciekł skomląc.

O północy, jak olbrzymie nietoperze, zatrzepotały w powietrzu czarownice.

— Fiu — krzyczały osuwając się na ziemię — jest tu ktoś, kogo nie znamy.

I węszyły dokoła, szepcząc między sobą i dając sobie znaki. Ostatnia przyleciała młoda czarownica, a czerwone jej włosy wiatr rozwiewał. Nosila szatę ze złotej tkaniny, haftowaną w pawie oka, a na głowie miała czapeczkę z zielonego aksamitu.

— Gdzie on? gdzie on? — wrzasnęły czarownice zobaczywszy ją. Ale ona zaśmiała się tylko i pobiegła w stronę grabu i ujawszy rybaka za rękę stanęła z nim w promieniach księżyca, i poczęła tańczyć.

Wirowali i wirowali wciąż dokoła, a młoda czarownica podskakiwała tak wysoko, że widział szkarłatne obcasy jej trzewików. Wtem pośród koła tańczących rozległ się odgłos galopującego konia, ale konia widać nie było i rybak uczył trwogę.

— Prędzej! — wołała czarownica zarzucając mu ramiona na szyję, a oddech jej palił mu twarz. — Prędzej, prędzej! — wołała, a jemu zdawało się, że ziemia mu wiruje pod stopami i w oczach mu pociemniało, a pierś ścisnęła się wielką trwogą, jakby na niego patrzył jakiś zły duch... Aż wreszcie ujrzał, że w cieniu skały stoi postać, której poprzednio nie było.

Był to mężczyzna w czarnym aksamitnym stroju, skrojonym podług mody hiszpańskiej. Twarz miał dziwnie bladą, ale usta jego były niby pyszny purpurowy kwiat. Wyglądał na znużonego i, wsparłszy się niedbale o zrąb skały, bawił się rękojeścią sztyletu. Obok niego, na trawie, leżał kapelusz zdobny w pióra i para rajtarskich rękawic, obramowanych złotym sznurem i wyszytych perłami w kształt jakiegoś symbolu. Krótki, sobolami podbity płaszcz opadał mu z ramion, a delikatne, białe ręce świeciły pierścieniami. Ciężkie powieki zasłaniały mu oczy.

Młody rybak wpatrywał się weń, jakby opętany czarem. Wreszcie spojrzenia ich się spotkały i gdziekolwiek później tańczył, zdawało mu się, że spoczywa na nim wzrok tego mężczyzny. Słyszał, że czarownica się zaśmiała, i ujawszy ją w pół, począł z nią wirować jak szalony.

Nagle pies zaszczekał w lesie, a tańczący przystanęli, i, parami podszedłszy do mężczyzny, klękali przed nim i całowali go w rękę. A wówczas lekki uśmiech musnął jego dumne wargi, jak skrzydło ptaka muska wodę i wywołuje śmiech fali. Ale w tym jego uśmiechu była wzgarda. Ustawicznie wpatrywał się w młodego rybaka.

— Pójdź, złożmy mu hołd — szepnęła czarownica ciągnąc go za rękę, a on uczył gorącą chęć spełnienia jej życzenia i poszedł za nią. Ale, zbliżywszy się do nieznanego, bezwiednie nakreślił na piersi znak krzyża, wymawiając przy tym imię święte.

A zaledwie to uczynił, czarownice wrzasnęły jak sokoły i rozbiegły się, a blada twarz wpatzonego weń, mężczyzny drgnęła skurczem bólu. Odszedł w stronę zarośli i świsnął. W tejże chwili przybiegł doń mały hiszpański konik w srebrnej uprzęży. Wskoczywszy na siodło, odwrócił się i smutne spojrzenie rzucił na młodego rybaka. A rudowłosa czarownica również usiłowała się wymknąć, ale rybak silnie ją pochwycił za rękę i powstrzymał.

— Puść mnie — krzyknęła. — i pozwól mi odejść; Wymieniłeś bowiem, czego wymieniać nie należało, i uczyniłeś znak, na który patrzeć nie wolno.

— Nie — odparł. — Me puszczyć cię, dopóki mi nie wyjawisz tajemnicy.

— Jakiej tajemnicy? — spytała czarownica mocując się z nim jak dzika kotka i zagryzając pianą okryte usta.

— Ty wiesz — odparł.

Jej zielone jak trawa źrenice zasły łzami i rzekła do młodego rybaka:.

— Wszystkiego ode mnie żądaj, tylko nie tego! Zaśmiał się i jeszcze silniej chwycił ją za rękę.

A ona widząc, że mu się nie wymknie, szepnęła:

— Jestem równie piękna jak córy morza i tak samo czarująca jak te, co w błękitnej mieszkają toni. — I tuląc się doń przyłożyła swą twarz do jego twarzy.

Ale on odepchnął ją gniewnie i zmarszczywszy brwi rzekł:

— Jeśli nie dotrzymasz obietnicy, którą mi dałaś, zamorduję cię jako fałszywą czarownicę.

Posiniała jak kwiat drzewa Judaszowego i dreszcz ją przebiegł.

— Niechże więc tak będzie — mruknęła. — Wszak to twoja dusza, a nie moja. Zrób z nią, co chcesz. — I wyjęła zza paska nożyk oprawny w skórę z zielonej żmii i podała mu go.

— Do czego mi to ma służyć? — spytał zdziwiony. Milczała parę chwil, a wyraz przestachu odmalował się na jej twarzy. Następnie odgarnęła włosy i z dziwnym uśmiechem mówiła:

— To, co ludzie nazywają cieniem ciała, nie jest wcale cieniem ciała, lecz ciałem duszy. Stań nad brzegiem zatoki, plecami zwrócony do księżyca, i dokoła nóg swoich odetnij cień, będący ciałem twej duszy, po czym rozkaż duszy swej, by cię opuściła, a ona posłucha.

Młody rybak drżał.

— Czy to prawda? — mamrotał.

— Prawda, i lepiej byłoby, gdybym ci tego nie była powiedziała — rzekła z płaczem, obejmując jego kolana.

Odsunął ją od siebie, porzucił w bujnej trawie, poszedł na skraj góry i, zatknąwszy nóż za pas, począł zstępować ku zatoce.

A dusza, która w nim mieszkała, zawołała nań i rzekła:

— Patrz, byłam w tobie przez wszystkie te lata i służyłam ci. Nie oddalaj mnie teraz. Bo i cóż ci uczyniłam złego?

Młody rybak się zaśmiał.

— Nic mi nie uczyniłaś złego, ale jesteś mi niepotrzebna. Świat jest wielki i jest również niebo i piekło, i ów mroczny dom pośrodku. Idź, gdzie chcesz, ale mi nie przeszkadzaj, gdyż moja ukochana przywołuje mnie do siebie.

A dusza poczęła go rozpaczliwie błagać, lecz on, nie zważając na to, skakał ze skały na skałę, bo nogi miał zwinne jak dzika kozica, aż wreszcie stanął na równinie, nad żółtą zatoką morską.

Gdy stał tak na piasku, niby statua ręką Greka rzeźbiona, plecami zwrócony do księżyca, pięknie zbudowany, o kształtach jak z brązu ulanych, z piany morskiej wyłoniły się białe ramiona, wabiąc go ku sobie, i z fal wyszły ciemne postacie, hołd mu składając, a poza nim zawisł w powietrzu księżyc barwy miodowej. A wtedy dusza rzekła doń:

— Jeśli mnie istotnie chcesz od siebie oddalić, to nie wypędzaj mnie bez swego serca. Świat jest okrutny — daj mi serce swe na drogę.

Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się.

— Czym kochałbym moją ukochaną, gdybym tobie oddał serce? — odparł.

— Ach, miej litość nade mną — prosiła dusza. — Daj mi swe serce, bo świat jest okrutny, i ja się boję.

— Serce moje należy do mej ukochanej — odparł — nie zwlekaj przeto i oddal się.

— Czyż ja nie mogę kochać również? — spytała dusza.

— Oddal się, gdyż jesteś mi niepotrzebna! — krzyknął młody rybak i, wyjąwszy nóż oprawny w zieloną skórę żmii, odciął cień dokoła swych nóg, a cień wstał i stanął przed nim. Wtedy rybak spojrzał nań i zobaczył, że był całkiem podobny do niego.

Cofnął się i wetknął nóż za pas, i ogarnęło go uczucie lęku i trwogi.

— Oddal się — mamrotał — i nigdy już nie ukazuj mi swego oblicza.

— Nie, musimy się jeszcze spotkać — rzekła dusza. Głos jej był cichy jak dźwięki fletni, a usta zaledwie się poruszały, gdy mówiła.

— Jakżebyśmy się mieli spotkać? — krzyknął młody rybak. — Me pójdziesz wszak ze mną w morskie głębiny?

— Raz do roku będę tutaj przychodzić i wołać cię po imieniu — rzekła dusza. — Być może, że będę ci potrzebna.

— Na cóż mogłabyś mi być potrzebna? Niech jednak będzie, jak chcesz.

I zanurzył się w wodzie; trytony zadęły na rogach, a mała wodnica wypłynęła ku niemu na powierzchnię i objawszy go ramionami ucałowała w same usta. A dusza stała na samotnym wybrzeżu i przyglądała się im z daleka. Gdy pograżyli się w falach morskich, z płaczem odeszła przez bagna.

A gdy rok minął, dusza przysła nad brzeg morza i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się z głębin i spytał:

— Czemu mnie wołasz?

A dusza rzekła:

— Przyjdź bliżej; bym mogła z tobą pomówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy.

Przybliżył się więc i usiadł w płytkiej wodzie, a głowę wsparłszy na rękę, słuchał. A dusza mówiła doń:

— Kiedy cię opuściłam, ruszyłam w drogę i powędrowałam na Wschód. Ze Wschodu przychodzi wszystko, co mądre. Sześć dni wędrowałam, a siódmego dnia rankiem doszłam do wzgórza, leżącego w kraju Tatarów. Usiadłam w cieniu tamaryszka, by się schronić przed słońcem. Ziemia była wyschła i spalona żarem słonecznym. Ludzie chodzili po równinie tu i ówdzie niby muchy łażące po płycie gładkiej miedzi.

Koło południa na skraju płaskowzgórza wzbił się tuman kurzu. Gdy Tatarzy to ujrzeli, napięli swe łuki kolorowe, wskoczyli na małe koniki i popędzili w stronę, gdzie się wznosił tuman kurzu. Kobiety z wrzaskiem uciekały na wozy, kryjąc się poza zasłonami ze skór. O zmierzchu Tatarzy wrócili, ale pięciu z nich brakowało, a z tych, co wrócili, wielu było rannych. Przyprzagli konie do wozów i spieszenie odjechali. Trzy szakale wybiegły z jaskini i spoglądały za nimi. Po czym nozdrzami chciwie wciągnęły powietrze i pomknęły w kierunku przeciwnym.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, ujrzałam na równinie płonące ognisko i podeszłam ku niemu. Gromada kupców siedziała dokoła na miękkich kobiercach. Wielbłądy stały przywiązane do pali, a Murzyni pełniący służbę rozpinali na piaskach namioty z wygarbowanych skór. i wznosili wysoki płot z ciernistych krzaków.

Gdy się do nich zbliżyłam, dowódca karawany powstał, wyciągnął miecz z pochwy i spytał, czego żądam.

Odpowiedziałam, że jestem księżciem w mej krainie i właśnie umknęłam Tatarom, którzy mnie w jasyr zabrać usiłowali. Dowódca się uśmiechnął ukazując mi pięć głów, zatkniętych na długich bambusowych żerdziach. Następnie zapytał, kto jest prorokiem bożym, a ja odparłam, że Mahomet.

Usłyszawszy imię fałszywego proroka, pochylił się, ujął mnie za rękę i posadził obok siebie. Jeden z Murzynów przyniósł mi końskiego mleka w misie drewnianej i kawał pieczonej baraniny.

Świttem ruszyliśmy w dalszą drogę. Ja jechałam na dużym wielbłądzie obok dowódcy, a ciura biegł przed nami niosąc oszczep. Po obu stronach drogi kroczyli zbrojni mężowie, a za nimi muły ciągnęły wozy z towarami. W karawanie było czterdzieści wielbłądów, a liczba mułów wynosiła dwa razy po czterdzieści sztuk. Z kraju Tatarów przyszliśmy do ziemi tych, co złorzeczą księżycowi. Widzieliśmy gryfy na białych skałach, jak strzegły swego złota, i łuską okryte węże, śpiące w swych pieczarach. Przechodząc przez góry wstrzymywaliśmy oddech, aby śnieg na nas nie runął, i każdy z nas zasłoną gazową przysłaniał sobie oczy. Przechodząc przez doliny, ukryci w dziuplach drzew Pigmejczycy wypuszczali na nas strzały, a w nocy słyszeliśmy, jak dzicy bili w bębny. A przyszedłszy do wieży małp, uraczyliśmy je owocami, i nie uczyniły nam nic złego. Przybywszy do wieży węzów, podaliśmy im ciepłego mleka w ciepłych czarach, i pozwoliły nam przejść spokojnie. Trzykrotnie w ciągu podróży doszliśmy do brzegów Oxosu. Przeprawiliśmy się na drewnianych tratwach o dużych, powietrzem napełnionych pęcherzach ze skór. Hipopotamy rzucały się na nas i

chciały nas zabić. Na ich widok wielbłądy drżały ze strachu.

Królowie wszystkich miast nakładali na nas wysokie haracze, ale nie pozwalali nam przekroczyć bram swych grodów. Przez mury rzucali nam chleb, małe pierniki z kukurydzy pieczone z miodem i ciastka z białej mąki, napelniane daktylami. Za sto koszy żywności dawaliśmy jeden paciorek bursztynu.

Mieszkańcy wsi, widząc nas nadchodzących, zatruli studnie i uciekali w góry. Walczyliśmy z Magadami, co rodząc się starcami, z roku na rok młodnieją i umierają jako dzieci, i z Laktami, uważającymi się za synów tygrysów i malującymi swe ciało na żółto i czarno, i z Durantami, co zmarłych swych chowają na wierzchołkach drzew, a mieszkają w ciemnych jaskiniach z obawy, aby słońce, będące ich bóstwem, nie uśmierciło ich swym gromem, i z Krymnejczykami, co ubóstwiają krokodyla i karmią go masłem i żywym drobiem, i z Agazombami o psich mordach, i z Sybinsami, co mają końskie kopyta i szybciej biegną niż konie. Jedna trzecia część naszego orszaku padła w walce, a jedna trzecia zginęła z niedostatku. Pozostali szemrali przeciwko mnie, twierdząc, że ja im przyniosłam nieszczęście. Wyjęłam tedy spod kamienia rogatą żmiję i pozwoliłam się jej ukąsić. A gdy ujrzeli, że nie zachorowałam, zdjęło ich przerażenie.

Czwartego miesiąca dotarliśmy do miasta Illelu. Noc zapadła, gdy stanęliśmy koło gaju, otaczającego miasto. Powietrze było duszne, gdyż księżyc stał w znaku skorpiona. Zrywaliśmy z drzew owoce granatu, rozłamywaliśmy je i pili ich słodki sok. Następnie ułożyliśmy się na kobiercach, czekając świtu.

O świcie powstawszy, zapukaliśmy do bram miasta. Były z czerwonego brązu, pokryte rzeźbami morskich potworów i ptaków skrzydlatych. Straże, czuwające na wałach, zapytały czego żądamy. Tłumacz karawany odpowiedział, że przybywamy z wyspy syryjskiej i przywozimy mnóstwo towarów. Zabrali zakładników i kazali nam czekać do południa, przyrzekając, że wtedy otworzą nam bramy. W południe istotnie otworzono nam bramy, a gdy je przekroczyliśmy, ludność tłumnie wybiegła z domów, a wywoływacz przebiegał całe miasto trąbiąc na muszli. Stanęliśmy na targowisku, a Murzyni poczęli odwiązywać paki pstrych chust i otwierać rzeźbione skrzynie z drzewa sykomoru. A gdy się z tym załatwili, kupcy jęli wydobywać swe egzotyczne towary, woskowane płótna egipskie i malowane płótna z kraju Etiopów. Purpurowe gąbki z Tyru i błękitne tapety z Sydonu, czary z chłodnej kości słoniowej i delikatne naczynia ze szkła, i rzadkie wyroby z gliny. Z dachu jednego z domostw obserwowała nas gromada kobiet. Jedna z nich nosiła maskę z wyłacanej skóry. Pierwszego dnia przyszli kapłani i zamienili się z nami na towary, a drugiego dnia przyszli szlachcice, a trzeciego przyszli rzemieślnicy i niewolnicy. Bo taki jest zwyczaj i tak postępuje się z wszystkimi kupcami, dopóki bawią w mieście.

I pozostaliśmy tam przez cały miesiąc, a gdy księżyc zaczął ubywać, uczułam się znużona i, ruszywszy przez ulice miasta, zaszłam do ogrodu ich boga. Kapłani w żółtych szatach w milczeniu przechadzali się pośród zieleni drzew, a na podmurowaniu z czarnego marmuru stał różowy dom, w którym bóg miał swą siedzibę. Drzwi domu były z laku pokrytego złotym pyłem, na nich widniały wypukłe płaskorzeźby byków i pawi z lśniącego złota. Cegła na dachu była z zielonej porcelany koloru morza, a wokół biegnące: rynny obwieszane były dzwoneczkami. Białe gołębie, przelatając, skrzydłami muskały dzwoneczki i wydobywały z nich srebrne dźwięki.

Przed świątynią lśnił basen czystej wody, wyłożony żyłkowanym onyksem. Położyłam się obok niego i bladymi palcami dotknęłam szerokich liści. Jeden z kapłanów zbliżył się i stanął za mną. Na nogach miał sandały, jeden z miękkiej skóry węża, drugi z piór ptasich. A na głowie nosił czapkę z miękkiego filcu ozdobioną srebrnymi księżycami. Siedmiu żółtymi odcieniami mieniła się jego szata, a kędzierzawe włosy posypane były antymonem.

Po chwili przemówił do mnie, pytając, czego żądam.

Odpowiedziałam, że pragnę zobaczyć boga.

— Bóg jest na polowaniu — rzekł kapłan, bystro na mnie spoglądając swymi małymi skośnymi oczkami;

— Powiedz mi, w którym lesie poluje, a pojedę z nim — odparłam.

Długimi, spiczastymi paznokciami czesał miękkie frędzle swej szaty.

— Bóg śpi — mruknął.

— Powiedz mi, na którym łożu, a będę przy nim czuwać — odparłam.

— Bóg jest na uczie! — zawołał.

— Jeśli wino słodkie, napiję się z nim, a jeśli jest kwaśne, to również się z nim napiję — brzmiała moja odpowiedź.

Pochylił głowę zdziwiony i, ująwszy mnie za rękę, zaprowadził do świątyni.

W pierwszej komnacie zobaczyłam bóstwo, siedzące na tronie z jaspisu, wysadzonym perłami ze Wschodu. Bóstwo było wyrzeźbione z hebanu i miało postać mężczyzny. Na czole jego płonął rubin, a gęsta oliwa kroplami spływała mu z włosów na nogi. Stopy miał czerwone od krwi świeżo zabitego jagnięcia, a biodra opasywał mu pas miedziany, błyszczący siedmiu berylamy.

I zapytałam kapłana:

— Czy to jest bóg? A on odparł:

— Tak, to jest bóg.

— Pokaż mi boga — krzyknęłam — inaczej zabiję cię, zaprawdę! — I dotknęłam jego ręki, która zwisała bezwładnie.

A kapłan począł błagać.

— Niechaj pan mój uzdrowi sługę swego, a natychmiast pokażę mu boga.

Tedy oddechem swym wionęłam mu na rękę, która znów odzyskała władzę, a on drżąc wprowadził mnie do drugiej komnaty, gdzie ujrzałam bóstwo na cokole z nefrytu, zdobnym w olbrzymie szmaragdy. Bóstwo było wyrzeźbione z kości słoniowej, a postacią dwa razy przewyższało zwykłego człowieka. Na czole jego błyszczał chryzolit, a piersi miał natarte mirrą, i cynamonem. Jedną ręką bóg ujmował krzywe berło z nefrytów, a drugą krągły kryształ. Obuwie miał ze spiżu, a dokoła grubej szyi girlandę z salenitów. A ja spytałam kapłana:

— Czy to jest bóg? A on odparł.

— Tak, to jest bóg.

— Pokaż mi boga! — krzyknęłam — inaczej zabiję cię, naprawdę!

I dotknęłam jego oczu, a one oślepiły. Zaś kapłan począł błagać:

— Niechaj pan mój uzdrowi swego sługę, a natychmiast pokażę mu boga.

Wtedy oddechem swym wionęłam mu na oczy, które znów przejrzały, a on zadrżał i wprowadził mnie do trzeciej komnaty, i o dziwo! nie było tam żadnego bóstwa ni obrazu, tylko krągłe zwierciadło metalowe na ołtarzu kamiennym.

A ja spytałam kapłana: — Gdzie jest bóg?

A on odparł:

— Nie mamy innego boga prócz tego zwierciadła, które widzisz, gdyż jest to zwierciadło mądrości. Odzwierciedla- wszystkie przedmioty na ziemi i w niebie, z wyjątkiem twarzy człowieka, który w nie spogląda. Tej nie odzwierciedla, zatem ten, kto w nie spogląda, może być mądry. Istnieje mnóstwo innych zwierciadeł, ale są to zwierciadła sądów ludzkich. To jedno tylko jest zwierciadłem mądrości. A ci, co zwierciadło to posiadają, wiedzą wszystko, i nic nie jest dla nich ukryte. A ci, co go nie posiadają, nie znają mądrości. Dlatego jest ono naszym bogiem i cześć mu oddajemy. A ja

spojrzałam w zwierciadło i przekonałam się, że jest tak, jak powiedział.

I zrobiłam coś dziwnego, ale, co zrobiłam, jest obojętne: w dolinie, oddalonej stąd tylko o jeden dzień podróży, ukryłam, zwierciadło mądrości. Wpuść mnie tylko z powrotem i pozwól, bym ci nadal służyła, a będziesz mędrszy od wszystkich mędrców i wszystka mądrość stanie się twoją. Tylko mnie przyjm z powrotem, a nikt nie będzie tak mądry jak ty.

Ale młody rybak się zaśmiał.

— Miłość lepsza jest od mądrości — zawołał — a młoda wodnica mnie kocha!

— Nie, nie masz nic lepszego nad mądrość — rzekła dusza.

— Miłość jest lepsza. — odparł młody rybak i zanurzył się w morskich głębiach, a dusza płacząc odeszła poprzez bagna.

Gdy drugi rok minął, dusza przybyła na wybrzeże i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się na powierzchnię i rzekł:

— Czemu mnie przywołujesz?

A dusza odparła:

— Zbliź się, bym mogła z tobą pomówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy.

Więc zbliżył się i usiadł w płytkiej wodzie, i głowę wsparłszy na rękę słuchał.

A dusza mówiła:

— Gdy się z tobą rozstałam, zwróciłam się ku południowi, wędrując dniem i nocą. Z południa pochodzi wszystko, co jest cenne. Sześć dni wędrowałam drogami wiodącymi do miasta Aster, czerwonymi, pełnymi kurzu drogami, którymi zwykli chadzać pielgrzymi, dążyłam tam, a siódmego dnia rankiem podniosłam wzrok, i o dziwo! u stóp mych w dolinie leżało miasto.

Dziewięć bram wiedzie do tego miasta, a przed każdą z bram stoi koń z brązu, który rży, gdy Beduini z gór zbliżają się do grodu. Mury okryte są miedzią, a wieże strażnicze na murach — spiżem. W każdej wieży stoi łucznik z łukiem w rękę. O wschodzie słońca uderza strzałą w cymbały, a o zachodzie dmie w róg.

Gdy chciałam wejść, strażę mnie powstrzymały pytając, kim jestem. Odpowiedziałam, że jestem derwiszem zdążającym do Mekki, gdzie znajduje się zielona zasłona, na której widnieje ręką anioła srebrnymi literami wyszyty ustęp z Koranu. Zdumienie ich ogarnęło i poprosili mnie, bym weszła.

A wewnątrz wyglądało jak w bazarze. Szkoda, że nie byłeś tam ze mną. W wąskich uliczkach fruwały różnokolorowe papierowe latarnie niby duże motyle. Gdy wiatr wieje ponad dachami, unoszą się i opadają jak pstre bańki mydlane. Kupcy siedzą na jedwabnych kobiercach przed swymi budkami. Mają długie, czarne brody, a turbany ich okryte są złotymi cekinami. Długie łańcuchy z rzeźbionych pestek brzoskwiniowych i bursztynu przesuwają się przez ich chłodne palce. Niektórzy z nich sprzedają galban, nard i rzadkie wonności z wysp Morza Indyjskiego, i gęste olejki różane, i mirty, i małe goździki. Gdy się na chwilę przystaje, by z nimi pomówić, rzucają na fajerki drobne kawałki kadzidła i słodkim aromatem napełniają powietrze. Widziałam Syryjczyka, który w rękę trzymał cienką różeczkę w kształcie trzciny. Unosiły się z niej szare pasemka dymu, a w miarę jak się spalała; wydawała woń, podobną do woni kwiecia migdałowego na wiosnę. Inni sprzedają srebrne bransolety, wysadzone dokoła mlecznobłękitnymi turkusami, i mosiężne pierścienie na nogi, obrzeżone drobnymi perełkami, i pazury tygrysie oprawne w złoto, jak również. pazury tego złotożółtego kota, lamparta, i kolczyki z przekłutych szmaragdów i pierścienie z nefrytu. Z herbaciarn dochodzą tony gitary, a palacze opium o białych uśmiechniętych twarzach patrzą na przechodniów.

Zaprawdę, szkoda, że ty nie byłeś ze mną. Winiarze z ogromnymi czarnymi skórzanymi worami na ramionach torują sobie drogę przez tłumy. Sprzedają oni przeważnie wino z Sziraz, słodkie jak miód. Podają je w małych czarkach metalowych, sypiąc na wierzch płateczki różane. Na targowicy

handlarze sprzedawali wszelkiego rodzaju owoce: dojrzałe figi o miękkim purpurowym miąższu, melony, wonią przypominające piżmo, żółte jak topazy cytryny i różowe jabłuszka, i grona białe i ciemne, krągłe, czerwonożółte pomarańcze i podłużne cytryny z zielonkawego złota. Raz widziałam przechodzącego ulicą słonia. Trąbę miał pomalowaną na żółto i czerwono, a na uszach siatkę z czerwonego jedwabnego sznurka. Zatrzymał się przed jedną z budek i zaczął zjadać pomarańcze, a obecni śmieli się w głos. Nie możesz sobie wyobrazić, co to za dziwny naród. Gdy są weseli, idą do ptasznika i kupują ptaka w klatce, którego następnie puszczają na wolność, gwoli zwiększenia swej radości, a gdy są smutni, biczą się cierniami, by smutek się nie umniejszał.

Pewnego wieczora napotkałam Murzynów niosących ciężką lektykę. Była ze złoczonego bambusu, o drążkach z czerwonego laku, z mosiężnymi ozdobami w kształcie pawi. Okna były przesłonięte przezroczystymi frankami z muślinu, na których, drobnymi perełkami wyszyte, lśniły skrzydła chrabąszczy. Gdy przechodzili koło mnie, z wewnątrz lektyki wyjrzała blada Czerkieska darząc mnie uśmiechem. Ruszyłam za nimi, a Murzyni przyspieszyli kroku, rzucając mi ponure spojrzenia. Ale ja nie zwracałam na to uwagi. Zdjęła mnie ogromna ciekawość. Nareszcie zatrzymali się przed białym czworokątnym domem. Dom ten nie miał wcale okien, tylko małe drzwiczki niby otwór grobu. Postawili lektykę na ziemi i trzykrotnie zapukali mosiężnym młotkiem. Armeńczyk w kaftanie z zielonej skóry wyjrzał z wnętrza, a zobaczywszy ich otworzył drzwi i dywan rozłożył na ziemi, a wtedy kobieta wysiadła z lektyki. Wchodząc do domu, obejrzała się, znów darząc mnie uśmiechem. Nigdy nie widziałam twarzy równie bladej.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, wróciłam na to samo miejsce, by odszukać ów dom. Ale go już nie było. Zobaczywszy to, domyśliłam się już, kto była ta kobieta i dlaczego się do mnie uśmiechała. Zaprawdę, szkoda, że nie byłęś wtedy ze mną.

W święto nowiu młody cesarz przybył ze swego pałacu do meczetu, by odmówić modlitwy. Włosy i brodę miał pomalowane liściem różanym, a policzki obsypane drobnym pyłkiem złotym. Dłonie i stopy żółte były od szafranu.

O wschodzie słońca wychodził ze swego pałacu w szacie srebrzystej, a o zachodzie wracał w szacie ze złota. Lud padał przed nim na ziemię, kryjąc twarze w dłoniach, ale ja tego nie czyniałam. Stałam koło budki z daktyłami czekając. Cesarz, zobaczywszy mnie, zmarszczył swe pomalowane brwi i przystanął. Pozostałam całkiem spokojna i nie złożyłam mu hołdu. Obecni, zdumieni moją śmiałością, radzili mi, bym co prędzej umknęła z miasta. Ale ja, nie zwracając na nich uwagi, siadłam koło przekupniów obcych bogów, pogardzanych z powodu swego rzemiosła. Gdy im opowiedziałam, co zrobiłam, każdy z nich dał mi jednego boga, prosząc, bym odeszła.

W nocy leżałam na poduszkach w herbaciarni na rogu ulicy Granatów, wtem weszły straże cesarskie i zabrały mnie do pałacu. Gdy weszłam, zamknęli za mną wszystkie drzwi i założyli łańcuchy. Pośrodku było wielkie podwórze otoczone kolumnadą. Mury były z białego alabastru, wykładanego tu i ówdzie zielonymi: i błękitnymi kaflami. Słupy z zielonego marmuru, a posadzka z brzoskwiniowego. Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś równie wspaniałego.

Gdy przechodziłam przez podwórze, z balkonu spoglądały dwie kobiety w zasłonach, złoścąc mi. Straże biegły naprzód, a drzewca ich lanc uderzały o lśniącą posadzkę. Otworzyli drzwi rzeźbione z kości słoniowej i znalazłam się w obficie nawodnionym ogrodzie o siedmiu tarasach. Zasadzony był tulipanami, makami i srebrzystymi aleosami. Niby smukła trzcina z kryształu, zawisł w mrocznej atmosferze promień wodospadu. Cyprysy robiły wrażenie zgasłych pochodni. Na jednym z nich śpiewał słowik.

U końca ogrodu wznosił się mały namiot. Gdyśmy się zbliżyli, podeszło ku nam dwóch eunuchów. Tłuste ich cielska kołysały się za każdym krokiem, a małe oczka o żółtych powiekach

przyglądały mi się z ciekawością. Jeden z nich, odprowadziwszy na bok kapitana straży, szeptał z nim tajemniczo. Drugi tymczasem spożywał pachnące pastylki, przesadnym ruchem wydobywając je z podłużnego emaliowanego pudełeczka, koloru fiołków.

Po kilku chwilach kapitan oddalił żołnierzy. Wrócili do pałacu, za nimi powoli ruszyli eunuchowie zrywając po drodze słodkie morwy. Raz starszy z nich obejrzał się za mną, złośliwie się uśmiechając.

A kapitan straży skinął, bym się zbliżyła do wnijscia namiotu. Podeszłam bez trwogi, odchyliłam ciężką zasłonę i weszłam.

Młody cesarz leżał na pościeli z lwich farbowanych skór, a sokół siedział na jego w pięść zaciśniętej ręce. Za nim stał Nubijczyk w mosiężnym hełmie obnażony do pasa, a ciężkie kolczyki zwisały mu z przeciętych uszu. Na stole obok łoża leżała olbrzymia krzywa szabla ze stali. . Zobaczywszy mnie, cesarz zmarszczył czoło i spytał:

— Kto jesteś? Czy nie wiesz, że jestem monarchą tego miasta? Nie odpowiedziałam mu.

Palcem wskazał szablę, a Nubijczyk chwycił ją i ugodził we mnie z wielkim rozmachem. Klinga przeszła na wskroś, nie zadawszy mi najłżejszej rany. Nubijczyk, drżąc całym ciałem, padł na ziemię, a gdy się podniósł, zęby mu szczękały ze strachu i ukrył się za pościelą.

Cesarz zerwał się i, chwyciwszy stojącą obok lancę, rzucił nią we mnie. Pochwyciłam ją w locie i przełamałam na dwie części. Godził we mnie strzałą, lecz podniosłam ręce do góry, i strzała zawisała w powietrzu. Wtedy zza pasa z białej skóry wyciągnął sztylet i wbił go w szyję Nubijczyka, by nie opowiadał o jego hańbie. Niewolnik wił się jak zdeptany wąż i czerwona piana okryła mu usta.

Gdy skonał, cesarz zwrócił się do mnie, a otarłszy kroplisty pot z czoła haftowaną chusteczką z purpurowego jedwabiu rzekł:

— Zali jesteś prorokiem, że cię nie mogę zabić? Proszę cię, opuść miasto moje nocą, bo dopóki ty w nim bawisz, ja nie mogę być jego władcą.

A ja odpowiedziałam:

— Odejdę stąd za połowę twego skarbcza. Oddaj mi połowę twego skarbcza, a odejdę.

Ujął mnie za rękę i wyprowadził do ogrodu. Kapitan straży, zobaczywszy mnie, osłupiał. A eunuchom na mój widok ugięły się kolana i padli na ziemię pełni trwogi. W pałacu cesarskim jest komnata o ośmiu ścianach z czerwonego porfiru i suficie z mosiężnej łuski, z którego zwisają lampy. Cesarz dotknął jednej ze ścian i otworzyła się, a my weszliśmy na korytarz, oświetlony mnóstwem pochodni. W niszach po obu stronach stały duże puchary aż po brzegi napełnione srebrną monetą. Gdy stanęliśmy na środku korytarza, cesarz wymówił słowo, którego wymawiać nie należy, a wtedy, tajemną sprężyną poruszone, rozwarły się drzwi z granitu, a on dłońmi przesłonił oczy, by go nie raził nadmiar blasku.

Nie możesz sobie wyobrazić, jak cudowną była owa komnata. Dokoła migotały duże muszle napełnione perłami i ogromne wydrążone kamienie księżycowe, pełne czerwonych rubinów. Złoto przechowane było w kufrach ze skór słoni, a złoty pyłek w worach skórzanych. Lśniły opale i szafiry, jedno w czarach kryształowych, drugie w wazach z nefrytu. Kształne, zielone szmaragdy były ułożone na przezroczystych tablicach z kości słoniowej, a po kątach piętrzyły się jedwabne torby pełne turkusów i beryli. Rogi z kości słoniowej napełnione były ametystami, a rogi z kruszcu — chalcedonami i sardonikami. Kolumny z cedrowego drzewa obwieszane były łańcuchami z żółtych bursztynów. Na płaskich, owalnych tarczach płonęły karbunkuły koloru wina lub trawy. A to wszystko stanowi zaledwie dziesiątą część tego, co tam widziałam.

A cesarz, odjąwszy ręce od oczu, rzekł do mnie:

— Oto mój skarbiec, a połowa z niego należy do ciebie, jak ci przyobiecałem. Dam ci całe stado wielbłądów i poganiaczy, co usłuchają twego rozkazu i odwiozą ci twoją część skarbcza, dokądkolwiek zechcesz. Tylko niech się to stanie dzisiejszego wieczora, gdyż nie chcę, aby słońce, będące mym ojcem, widziało, że w mieście moim bawi człowiek, którego nie mogę zabić.

Ale ja odparłam:

— Złoto tu nagromadzone należy do ciebie, a także srebro i kosztowne klejnoty, i wszystkie te drogocenne przedmioty tobie pozostawię. Ja ich nie potrzebuję. I nic nie przyjmę od ciebie prócz małego pierścionka, który nosisz na palcu.

A cesarz zmarszczył czoło i rzekł:

— Wszak to pierścionek z ołowiu i żadnej nie ma wartości. Weź przeto połowę skarbcza i opuść moje miasto.

— Nie — odparłam — niczego bowiem nie pragnę oprócz tego pierścionka z ołowiu, bo wiem, co na nim napisane i do jakiego służy celu. A cesarz drżąc mówił błagalnie:

— Zabierz cały mój skarbiec i opuść to miasto: Połowa, która do mnie należy, niech także będzie twoją.

I uczyniłam wtedy coś dziwnego, a co uczyniłam, jest obojętne: w jaskini oddalonej stąd tylko o jeden dzień drogi ukryłam pierścień bogactwa. Jaskinia oddalona tylko o jeden dzień drogi i pierścień czeka na ciebie. Kto pierścień ten posiada, bogatszym jest od wszystkich królów świata. Chodź więc ze mną i weź go, a skarby całego świata staną się twymi. Ale młody rybak się zaśmiał.

— Miłość lepsza jest od bogactwa — zawołał — a mała wodnica mnie kocha.

— Nie, nie masz nic lepszego nad bogactwo — odparła dusza.

— Miłość jest lepsza — rzekł młody rybak zanurzając się w morskich głębinach, a dusza z płaczem odeszła przez bagna.

A gdy trzeci rok minął, dusza przyszła na wybrzeże i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się na powierzchnię i spytał:

— Czemu mnie wołasz?

A dusza odparła :

— Przybliź się, bym mogła z tobą mi kowić, gdyż cudowne widziałam rzeczy, więc zbliżył się i usiadł w płytkiej wodzie, i, wsparłszy głowę na rękę, słuchał.

A dusza mówiła doń:

— W wiadomym mi mieście, stoi gospoda nad brzegiem rzeki. Siedziałam tam z marynarzami, którzy pili dwa wina, każde z nich innego koloru, jedli chleb jęczmienny i słone rybki z octem, podawane na listkach laurowych. A kiedy siedzieliśmy weseląc się, podszedł ku nam starzec, niosąc dywan skórzany i lutnię o dwóch rogach z bursztynu. A rozesławszy dywan na podłodze, sprężyną poruszył struny lutni, a wtedy wbiegła dziewczyna z zasłoniętą twarzą i zaczęła przed nami tańczyć. Twarz miała szczelnie osłoniętą welonem z gazy, ale nogi bose. Bose nogi, poruszające się po dywanie jak białe gołąbki. Nigdy nie widziałam czegoś równie cudownego, a miasto, gdzie ona tańczy, oddalone jest stąd tylko o jeden dzień drogi.

A rybak wsłuchując się w opowiadanie swej duszy, pomyślał, że wodnica nie ma nóg i nie umie tańczyć. Uczuł gorące pragnienie i rzekł do siebie:

— Wszak to tylko jeden dzień drogi, i mogę wrócić cło mej ukochanej.

Zaśmiał się, wstał z płytkiej wody i wyszedł na brzeg.

Stanąwszy na lądzie, znów się zaśmiał i wyciągnął ramiona ku swej duszy. A ona wydała okrzyk radości i podbiegła, i weszła w niego, a rybak ujrzał na piasku cień ciała, będący ciałem duszy.

A dusza rzekła doń:

— Nie zwlekajmy, lecz zaraz ruszajmy w drogę, albowiem bogowie morza są zawistni i mają (potwory; posłuszne ich rozkazom.

Więc śpieszyli się i wędrowali całą noc w blaskach księżycy i wędrowali dzień cały w żarze słonecznym, a wieczorem przybyli do miasta. A młody rybak rzekł do swej duszy:

— Czy to jest owo miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Nie owo to miasto, lecz inne. Mimo to, wejdź-

Weszli więc do miasta i szli ulicami, a gdy weszli w ulicę jubilerską, młody rybak ujrzał na straganie piękną czarę srebrną. A dusza rzekła doń:

— Weź srebrną czarę i ukryj ją.

Wziął więc srebrną czarę i ukrył ją w fałdach swej szaty, po czym śpiesznie uciekli z miasta.

A gdy uszli całą milę, młody rybak zmarszczył czoło i rzekł do swej duszy:

— Czemu kazałaś mi wziąć tę czarę i ukryć? To był czyn zły.

Ale dusza odparła:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

A wieczorem dnia następnego przyszedli do miasta i młody rybak zwrócił się do swej duszy:

— Czy to jest owo miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Nie owo to miasto, lecz inne. Mimo to wejdźmy. I weszli do miasta, i szli ulicami, a gdy weszli w ulicę, gdzie sprzedają sandały, młody rybak zobaczył dziecko, stojące obok dzbana z wodą

A dusza rzekła do niego:

— Uderz to dziecko.

I uderzył dziecko, które zaczęło płakać, po czym śpiesznie uciekli z miasta. A gdy uszli całą milę, młody rybak rozgniewał się i rzekł do swej duszy:

— Czemu kazałaś mi bić to dziecko? To był czyn zły.

Ale dusza odparła:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

A wieczorem dnia trzeciego przybyli do miasta i młody rybak zwrócił się do swej duszy:

— Czy to jest owo miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Być może, że to jest owo miasto: wejdźmy przeto. I weszli do miasta, i szli ulicami, ale nigdzie młody rybak nie mógł znaleźć rzeki ni gospody położonej nad jej brzegiem. Mieszkańcy miasta przyglądali mu się z ciekawością, a on uczył trwogę i rzekł do swej duszy:

— Odejźmy stąd, gdyż nie ma tu tej, co tańczy białymi nóżkami.

Ale dusza odparła:

— Nie, zostańmy, gdyż noc jest ciemna i zbójce mogą czyhać na drodze.

Usiadł więc na placu targowym i wypoczywał, a po chwili nadszedł kupiec w płaszczu z sukna tatarskiego, niosąc na sękatej trzcinie latarnię z wydrążonego rogu. I kupiec rzekł doń:

— Czemu tu siedzisz na targowicy, skoro kramy zamknięte, a towary zapakowane?

A młody rybak odparł:

— Nie mogę w mieście tym znaleźć gospody i nie mam krewnego, który by mi użyzył gościny.

— Czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi? — spytał kupiec. — I czy nie stworzył nas jeden Bóg? Chodź przeto ze mną, gdyż ja mam pokój dla gości.

Młody rybak wstał i poszedł z kupcem do jego domu. A gdy przez ogród pełen drzew granatowych dostali się do domu, kupiec przyniósł mu w miedzianej misie wody różanej do obmycia

rąk i dojrzałych melonów, by zaspokoił pragnienie, po czym uraczył go pełną czarą ryżu i kawałem pieczeni baraniej. Po spożyciu wieczerzy kupiec zaprowadził go do izby gościnnej, życząc dobrej nocy i miłego snu. A młody rybak podziękował mu całując pierścień, który ten nosił, po czym rzucił się na dywan z farbowanej sierści koziej. I nakrywszy się kocem z czarnej wełny jagnięcej zasnął.

A trzy godziny przed świtem, gdy wokół panował jeszcze spokój nocy, dusza zbudziła go mówiąc:

— Wstań i idź do pokoju kupca, do pokoju, w którym on śpi, zabij go i zabierz mu złoto, gdyż jest nam potrzebne.

Młody rybak wstał i na palcach wszedł do pokoju kupca. U nóg kupca leżał miecz snycerskiej roboty, a na stole, obok niego, dziewięć woreczków złota. Rybak wyciągnął rękę i dotknął miecza, a w tejże chwili kupiec się zerwał, skoczył z posłania i, sam ujawszy miecz, zawołał:

— Więc złym odpłacasz mi za dobre i rozlewem krwi odwdzięczasz się za gościnność, której ci użyzyłem?

A dusza rzekła do młodego rybaka:

— Uderz weń!

I uderzył kupca tak silnie, że ten zemdłał, po czym chwycił dziewięć woreczków złota i śpiesznie umknął przez ogród, pełen drzew granatowych i zwrócił oblicze ku gwiazdzie porannej. A gdy uszli całą milę, rybak uderzył się w pierś i rzekł do swej duszy.

— Czemu kazałaś mi powalić kupca i zabrać jego złoto? Zaprawdę jesteś zła.

Ale dusza odparła:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

— Nie! — krzyknął młody rybak. — Nie chcę być spokojny, gdyż wszystko, co mi czynić rozkazałaś, jest mi wstrętne. I ty mi jesteś wstrętna, i nienawidzę cię, i chcę, byś mi powiedziała, czemu ze mną tak postępujesz.

A dusza odpowiedziała:

— Gdy mnie wysłałeś w świat, nie dałeś mi serca, przeto nauczyłam się wszystkich tych czynów i pokochałam je.

— Co mówisz? — mamrotał młody rybak.

— Wiesz dobrze — odparła dusza — dobrze to wiesz. Alboż zapomniałeś, że mi nie dałeś serca? Nie sądzę, abyś tego nie pamiętał. Nie troszcz się więc o mnie, lecz bądź spokojny, gdyż nie ma bólu, którego nie zadasz, i nie ma rozkoszy, której byś nie miał zaznać.

A młody rybak, usłyszawszy te słowa, zadrżał i rzekł do swej duszy:

— Ty jesteś zła, gdyż pozwoliłaś mi zapomnieć o mej ukochanej i wystawiłaś na pokusę, i sprowadziłaś stopy me na drogę grzechu.

A dusza odpowiedziała:

— Zapomniałeś, że mi nie dałeś serca, kiedy mnie wysłałeś w świat. Chodź, pójdziemy do innego miasta i będziemy się weselić, gdyż mamy dziewięć woreczków złota. Ale młody rybak wziął dziewięć woreczków złota, rzucił je na ziemię i podeptał nogami.

— Nie! — krzyknął. — Nie chcę już z tobą mieć nic więcej do czynienia i nie chcę z tobą dłużej wędrować, lecz oddalę cię, jak cię w pierw oddaliłem, gdyż nie przyniosłaś mi nic dobrego.

I zwrócił się plecami do księżycyca i nożykiem o trzonku z zielonej skóry żmii próbował dokoła nóg swych odciąć cień ciała, będący ciałem duszy. Ale dusza nie odchodziła od niego i, nie słuchając jego rozkazu, te doń rzekła słowa:

— Urok rzucony na ciebie przez czarownicę na nic się już nie przyda. Albowiem nie mogę cię opuścić, ani ty mnie odpędzić już nie zdołasz. Raz w życiu człowiek może odpędzić swą duszę, ale

kto ją przyjmie z powrotem, musi ją zachować na wieki, i to jest jego karą i nagrodą.

A młody rybak zbladł i zacisnąwszy pięści krzyknął:

— Fałszywa była czarownica, bo mi tego nie powiedziała.

— Nie — odparła dusza — gdyż była wierna temu, kogo ubóstwia i komu służyć będzie na wieki.

A gdy młody rybak pojął, że nigdy już nie pozbędzie się swej duszy i że ta dusza jest zła i wiecznie w nim będzie mieszkać, padł na ziemię i gorzko zapłakał.

A gdy dzień nastał, młody rybak wstał i rzekł do swej duszy:

— Zwiążę sobie ręce, bym nie mógł robić tego, co mi rozkażesz, i zamknę usta, bym nie powtarzał słów twoich, i powrócę tam, gdzie mieszka moja ukochana. Do morza wrócę, do małej zatoki, gdzie ona zwykła śpiewać, i przywołam ją, i powiem, co złego uczyniłem i co ty mi uczyniłaś złego.

A dusza poczęła go kusić mówiąc:

— Któż jest ta twoja ukochana, byś miał do niej powracać? Znajdziesz na świecie niejedną piękniejszą od niej. Tancerki w Samaris tańczą jak różnorodne ptaki i zwierzęta, mają nóżki pomalowane henną, a w rękach trzymają małe miedziane dzwoneczki. Śmieją się, tańcząc, a śmiech ich jest srebrzysty jak śmiech wody. Chodź ze mną, a pokażę ci je. Po cóż się masz troszczyć z powodu grzechu? Alboż to, co smaczne, nie jest stworzone do jedzenia? Czy w słodkim napoju nie ma Boga? Nie dręcz się przeto, lecz pójdz ze mną do innego miasta. Tu, w pobliżu, leży małe miasteczko i ogród pełen tulipanów. A w pięknym tym ogrodzie są białe pawie i pawie o błękitnych piersiach. Gdy w słońcu roztoczą ogony, wyglądają jak dyski z kości słoniowej lub jak dyski ze złota. A dziewczyna, co karmi te ptaki, tańczy gwoli zabawy i tańczy czasem na rękach, a czasem nogami. Oczy jej mają kolor antymonu, a nozdrza są ruchliwe jak lotki jaskółki. Na haczyku przytwierdzonym do jednego nozdrza wisi kwiat wyrzeźbiony w perle. Tańcząc śmieje się, a srebrne bransolety na jej nóżkach dźwięczą jak srebrne dzwoneczki. Nie dręcz się więc dłużej, lecz chodź ze mną do tego miasta.

Młody rybak jednak nie odpowiedział swej duszy, lecz zamknął usta swe pieczęcią milczenia i ręce skrępował sobie mocnym sznurem, po czym skierował kroki swe ku stronie, skąd był wyszedł, i ku małej zatoce, gdzie ongi śpiewała jego ukochana. A dusza raz po raz kusiła go w ciągu drogi, lecz on jej nie odpowiadał i nie czynił nic złego, choć go namawiała, tak wielką była w nim potęga miłości. A przybywszy nad wybrzeże morza, zerwał sznur ze swych rąk i zdjawszy z ust swych pieczęć milczenia, począł wołać na wodnicę. Ale ona nie przybyła, pomimo że przez cały dzień wołał ją do siebie i błagał.

A dusza szydziła z niego mówiąc:

— Zaprawdę, niewiele radości sprawia ci twa ukochana. Przypominasz mi człowieka, który w czasie posuchy wlewa wodę do pękniętego naczynia. Rozdajesz, co masz, a nic nie odbierasz w zamian. Lepiej uczyniłabyś, idąc ze mną, gdyż ja wiem, gdzie leży dolina rozkoszy i czego się tam zaznaje.

Ale młody rybak nie odpowiadał swej duszy, lecz wybudowawszy sobie w skalnej rozpadlinie domek z trzciny, mieszkał w nim przez rok cały. I co ranka przywoływał wodnicę i przyzywał ją co południa i co wieczora, powtarzał jej imię nad brzegiem zatoki. Ale nigdy nie wyłoniła się z morza i nigdy nie znalazł jej, pomimo że szukał w ciemnych wirach i na powierzchni modrej toni, i w głębinach fal, i w studniach, ziejących na dnie morskich głębi.

I dusza kusiła go ciągle do złego, podszeptując rzeczy straszne. Ale nie miała nad nim żadnej władzy, tak wielką była w nim moc miłości.

A gdy rok minął, dusza pomyślała:

„Kusiłam pana mego do złego, ale miłość jego silniejsza jest ode mnie. Spróbuję go teraz skusić do dobrego, a może prędzej mi ulegnie.”

I rzekła do młodego rybaka:

— Mówiłam ci o rozkoszach świata, lecz byłeś głuchy na moje słowa. Teraz opowiem ci o bólach tego świata, a może posłuchasz. Bo zaprawdę, ból jest panem świata, i nikt mu nie ujdzie. Jedni nie mają odzienia, a inni nie mają chleba. Są wdowy; płaczą one zarówno w purpurze, jak w łańchmanach. Tu i ówdzie poprzez bagna przeciągają trędowaci i okrutni są dla siebie nawzajem. Żebracy włóczą się ulicami tam i na powrót, a kieszenie ich pozostają puste. Przez ulice miasta wlecze się głód, a u bram jego przycupnęła zaraza. Pójdź ze mną nieść pomoc ludziom i zmienić ten stan rzeczy. Po cóż miałbyś tu czas tracić przywołując ukochaną, gdy ona nie zważana tve wołanie? Czymże jest miłość, byś do niej tyle przywiązywał wagi? Ale młody rybak nie odpowiadał jej, tak wielką była w nim moc miłości. Co ranka przywoływał wodnicę i przyzywał ją co południa i co wieczora, powtarzał jej imię nad brzegiem zatoki. Ale nigdy nie wyłoniła się z głębin i nigdy jej nie znalazł w morzu, pomimo że szukał jej w zawrotnych wirach i w dolinach, cicho leżących pod falami morza, co w nocy okrywa się purpurą, a szarym się staje o zmroku.

A kiedy minął rok drugi, rzekła dusza do rybaka, gdy pewnej nocy siedział samotny w domku ze trzciny:

— Patrz, oto cię kusiłam do złego i kusiłam cię do dobrego, ale miłośćtwoja silniejsza jest ode mnie. Dlatego nie chcę cię kusić dłużej, lecz proszę cię tylko, pozwól mi wejść na powrót do twego serca, bym się z tobą zjednoczyła jak dawniej.

— Zaprawdę możesz wejść do niego — rzekł młody rybak — bo wiele zapewne przecierpieć musiałaś, gdy bez serca chodziłaś po świecie.

— Ach! — rzekła dusza — nie mogę znaleźć wejścia, tak bardzo serce tve wypełnione jest miłością.

— A jednak pragnąłbym ci przyjść z pomocą — odparł młody rybak. I zaledwie wyrzekł te słowa, od strony morza rozległ się żaloszny, przenikliwy krzyk towarzyszący zwykle śmierci wodników. A młody rybak zerwał się i wybiegł z domku trzciniowego na wybrzeże. Właśnie nadpłynęły czarne fale, niosąc na grzywie swój ciężar bielszy od srebra. Białe były jak biała piana morska i jak kwiat, kołysał się na fali. Rwący prąd odebrał go fali, a spieniona toń wyrwała go prądowi i zniosła na wybrzeże, i młody rybak ujrzał u stóp swoich zwłoki małej wodnicy. U stóp jego leżała martwa.

Bólem złamany padł obok niej, łkając i całując zimny karmin jej ust i pieszcząc wilgotny bursztyn jej włosów. Padł obok niej na piasku i płakał jak człowiek zmożony zbyt wielką radością i do piersi cisnął ją ogorzałymi ramionami. Zimne były jej usta, lecz on je całował. Słonym był miód jej włosów, lecz on go wchłaniał z gorzką rozkoszą. Całował przymknięte powieki, a piana morska, perląca się na nich, mniej była słoną od jego łez.

Spowiadał się jej zimnym zwłokom. Do muszel uszu wlewał ostre wino swych opowieści. Drobnymi jej rączynami oplótł sobie szyję i palcami dotknął delikatnej trzciny jej szyi. Gorzka była jego radość, a ból pełen dziwnej rozkoszy.

Czarne fale podpływały coraz bliżej, a biała piana jęczała jak człowiek okryty trądem. Białymi szponami z piany morze sięgało ku wybrzeżu. Z pałacu króla morza rozległ się nowy krzyk żalobny, a daleko na morzu trytony chrapliwie zagrzmiały w rogi.

— Uciekaj — rzekła dusza — gdyż morze podchodzi coraz bliżej i, jeśli będziesz zwlekał, uśmierci cię. Uciekaj, gdyż się boję, a do serca twego wejść nie mogę z powodu twjej wielkiej miłości. Uciekajna jakieś bezpieczne miejsce. Zaprawdę nie powinienes mnie wyprawiać na tamten

Świat bez serca!

Młody rybak nie zważał jednak na swą duszę, lecz ciągle przyzywał małą wodnicę mówiąc:

— Miłość lepsza jest od mądrości i cenniejsza od majątku, i piękniejsza niż nóżki córki człowieczych. Ogień jej nie zniszczy i woda nie zatopi. Przyzywałem cię o zmroku, lecz nie przyszłaś na moje wołanie. Księżyc słyszał, jak powtarzałem twe imię, ale ty nie zważałaś na mnie. Bo nikczemnie cię porzuciłem i odszedłem na własną swą zgubę. Ale miłość twoja zawsze była przy mnie i zawsze była silna, i nic nie mogło jej przewyciężyć, pomimo że patrzyłem na zło i dobro na świecie. A teraz, skoro nie żyjesz, i ja chcę umrzeć z tobą.

A dusza błagała go, by uciekł, lecz on nie chciał — tak wielka była moc jego miłości. A morze nadpływało coraz bliżej, usiłując go nakryć swymi falami, a on czując, że koniec się zbliża, płonącymi ustami namiętnie całował zimne usta wodnicy dotąd, aż serce w nim pękło. A kiedy serce w nim pękło z nadmiaru miłości, dusza zdołała w nie wejść i zjednoczyć się z nim, jak dawniej. A morze falami swymi nakryło młodego rybaka.

Rano ksiądz wyszedł pokropić morze święconą wodą, gdyż było wzburzone i niespokojne. A z nim szli mnisi i muzykanci, i wielkie tłumy ludzi, i chłopcy niosący świece i kadzidła.

A stanąwszy nad brzegiem morza, ksiądz ujrzał w zatoce zwłoki młodego rybaka, a w jego ramionach spoczywały zwłoki małej wodnicy. Więc, zmarszczywszy brwi, cofnął się i, czyniąc znak krzyża, zawołał:— Nie poświęcę morza ani niczego, co się w nim znajduje. Przekłęci niechaj będą mieszkańcy morza i przekłęci wszyscy, co się z nimi wdają. A zwłoki tego, co dla miłości porzucił Boga i teraz z dziewczką swą leży tutaj palcem bożym tknięty, i zwłoki jego dziewczki zabierzcie i pochowajcie je na pogańskim uroczysku, a nie kładźcie na grobie ich kamienia ni żadnego innego znaku, by nikt nie znał miejsca ich spoczynku. Bo przekłęci byli za życia i przekłęci niech będą po śmierci.

A lud uczynił, jak ksiądz rozkazał, i pochował ich na uroczysku, gdzie nie rośło żadne słodkie ziele. Wykopano dół głęboki i zagrzebano w nim zwłoki obojga.

A gdy trzeci rok minął, pewnego dnia, który był dniem świątecznym, ksiądz udał się do kaplicy, by ludowi pokazać rany Chrystusa i mówić o gniewie Pańskim. A kiedy włożył swe szaty i, wszedłszy do kaplicy, pochylił głowę przed ołtarzem, ujrzał, że ołtarz przystrojony jest dziwnym kwieciami, jakiego nigdy jeszcze nie widział. Dziwnie wyglądały owe kwiaty, piękność ich barw go oszałamiała, a zapach słodki drażnił powonienie. I był wesół, i nie wiedział, skąd wesołość ta pochodzi.

A gdy otworzył tabernakulum i palił przed monstrancją kadzidło, ludowi zgromadzonemu pokazał biały opłatek, który następnie ukrył za zasłoną zasłon — rozpoczął kazanie, mając zamiar mówić o gniewie bożym. Ale piękność białych kwiatów tak go oszałamiała, a zapach ich tak słodko drażnił mu powonienie, że inne słowa wybiegły mu na usta i zamiast o gniewie bożym, mówił o Bogu, którego imię jest: miłość. I nie wiedział sam, czemu w ten sposób mówi.

A gdy skończył, ludzie się rozeszli, ksiądz zaś poszedł do zakrystii, a oczy jego były pełne łez i weszli diakoni, i zdjęli z niego szaty: albę, manipularz i pas, i stułę. A on ciągle stał nieruchomy, jakby w ekstazie.

A gdy zdjęli z niego szaty, spojrział na nich i spytał:

— Co to są za kwiaty na ołtarzu i gdzie one urosły? A oni odparli:

— Co to są za kwiaty, nie wiemy, ale urosły na pogańskim uroczysku.

Ksiądz zadrżał i poszedł do mieszkania swego, by się tam modlić.

A rano o świcie, z mnichami i muzykantami, i chłopcami, niosącymi świece i kadzidła, i z wielkim tłumem ludzi poszedł w stronę morza, a stanąwszy na wybrzeżu, błogosławił morze i

wszystkie dzikie istoty, które w nim żyją. Błogosławił fauny i drobne istotki, co w lesie tańczą, i stworzonka o błyszczących oczach, zerkające spoza gęstwiny listowia. Błogosławił wszystkie istoty na bożym świecie, a lud. zgromadzony słuchał pełen radości i zdumienia. Ale nigdy już nie wyrosły kwiaty na pogańskim uroczysku, lecz pole pozostało puste jak dawniej. A także nikt z rodu wodników nie ukazał się odtąd w zatoce, gdyż wszyscy przenieśli się w inne strony morza.

Przygotowano na podstawie bookini.pl